

Nadwiślański neoliberalizm

Z prof. Grzegorzem W. Kołodką rozmawia Roman Mańka



Według rządu w Polsce kryzysu nie ma. Kraj się dobrze rozwija, jest liderem państw europejskich. Z drugiej strony część ekonomistów przestrzega przed ciężkim kryzysem. Która z diagnoz sytuacji gospodarczej Polski jest prawdziwa?

To zależy, co rozumiemy pod pojęciem kryzysu. Jeżeli ktoś utożsamia kryzys z recesją – co się dość często zdarza, choć jest błędne – to można powiedzieć, że w Polsce nie było i nie ma kryzysu. Udało się uniknąć recesji, podczas gdy inne kraje weszły w fazę bezwzględnie spadku poziomu produkcji. Rząd wykorzystał tę sytuację, ogłaszając hucznie, że jesteśmy „zieloną wyspą”, czemu się trudno dziwić, gdyż każda inna rządząca formacja polityczna, w analogicznych warunkach postąpiłaby podobnie. Tyle tylko, że ta hucpa trwała trochę zbyt długo! Zamiast uprawiania propagandy sukcesu pod hasłem „zielonej wyspy”, należało podjąć odpowiednie działania antykryzysowe, w celu zapobieżenia dalszemu pogarszaniu sytuacji finansowej, gospodarczej i społecznej. W połowie lat 90. XX w., kiedy skutek autentycznych osiągnięć Zachód okrzyknął nas mianem „europejskiego tygrysa”, jako wicepremier i minister finansów może raz albo dwa powtórzyłem to określenie. Ciężko pracowaliśmy – przeprowadzając odpowiednie reformy strukturalne i budując instytucje przyjazne rozwojowi rodzimej przedsiębiorczości. Po to, aby sytuacja gospodarcza i społeczna zmieniła się na lepsze. Obecny rząd zdecydowanie przesadził z popadaniem w samo zachwyty. Dlatego ani

jedna, ani druga diagnoza sytuacji gospodarczej Polski nie jest prawdziwa. Rząd przekolorowuje ferowane opinii publicznej oceny, przypisując sobie zasługi z tytułu relatywnie dobrej sytuacji na niektórych odcinkach, zaś zrzucając odpowiedzialność za negatywne zjawiska ekonomiczne na inne czynniki. Obecnie rolę tych „innych czynników” pełni kryzys, na który zrzuca się odpowiedzialność, także za słabości zawinione przez wewnętrzną politykę gospodarczą. Z kolei wielu analityków, ekspertów, publicystów w swoich enuncjacjach medialnych chętnie przedstawia sytuację jednostronnie i czasami nieco tendencyjnie. Być może niektórzy z nich kierują się chęcią formułowania tak zwanych scenariuszy ostrzegawczych, a więc strasząc, licząc na sprowokowanie działań zaradczych.

Jaki jest zatem faktyczny stan polskiej gospodarki? Która ze stron ma rację – rząd czy jego oponenty?

W Polsce choć nie ma recesji, jest kryzys. Przejawia się w trzech głównych obszarach. Po pierwsze, jeśli chodzi o przedsiębiorców, sferę produkcji – w ewidentnym niewykorzystaniu potencjału gospodarczego, w niewykorzystaniu istniejących mocy wytwórczych. Polska gospodarka w ostatnich latach idzie na dwie trzecie, może trzy czwarte „gwizdka”, zaś przy lepszym ustawieniu parametrów makroekonomicznych, przy stworzeniu korzystniejszego klimatu dla rozwoju przedsiębiorczości – potencjał gospodarczy mógłby być wykorzystywany lepiej. Jest to nie

tylko dotkliwie odczuwane przez przedsiębiorców, lecz będzie też miało konsekwencje długofalowe, ponieważ niski poziom wykorzystania mocy wytwórczych zniechęca do inwestowania. Bo po co inwestować w zwiększanie tych mocy, skoro przy występujących ograniczeniach popytowych (wewnętrznych i zewnętrznych) nawet produkcja z już istniejącego parku maszynowego, zasobów materiałów i surowców, budynków, możliwości zatrudnienia siły roboczej, nie można znaleźć zbytu? Dynamika inwestycji uległa obniżeniu, co w następnych latach odbije się negatywnym echem na dynamice gospodarczej.

Po drugie, z punktu widzenia pracowników, ludności, gospodarstw domowych – zasadniczym aspektem kryzysu jest strukturalne bezrobocie. Mimo że nie było recesji, bezrobocie nie spada, a może nawet rośnie. W Polsce występuje jedna z najwyższych stóp bezrobocia w całej Unii Europejskiej. Wyższy poziom bezrobocia jest jedynie w Grecji, Hiszpanii, Irlandii, Łotwie oraz na Litwie, tymczasem w pozostałych ponad 20 państwach jest ono mniejsze niż w Polsce. W strefie euro bezrobocie jest mniejsze, podobnie w Stanach Zjednoczonych i wielu innych, tzw. wyłaniających się rynkach, wśród których Polska – skrzętnie obserwowana przez światową finansjerę – jest plasowana.

Jest wreszcie trzeci aspekt kryzysu, o charakterze strukturalnym, którego nawet dobra koniunktura gospodarcza nie byłaby w stanie przezwyciężyć, a co tu dopiero mówić o niekorzystnej sytuacji, w jakiej się znajdujemy. To kryzys finan-

sów publicznych. Ewidentne błędy polityki gospodarczej rządu PO-PSL, premiera Donalda Tuska i jego ministra finansów doprowadziły do sytuacji, w której po raz kolejny – trzeci w okresie dwudziestu paru lat polskiej transformacji ustrojowej – doszło do – przewrotnego efektu dostosowania fiskalnego, jak określiłem to na początku lat 90. XX w., podczas szoku bez terapii –. Bardzo chciano ograniczyć deficyt budżetowy i od tego wielkiego chęć, połączonego z błędną realizacją, deficyt zrobił się jeszcze większy. Była alternatywna ścieżka zwiększenia umiarkowanych wydatków publicznych poprzez kontrolowany przyrost deficytu budżetowego na umiarkowaną skalę, sięgającą 10 mld zł, w taki sposób, aby uzyskać efekty mnożnikowe, wykorzystując zasadniczo rodzime moce wytwórcze i przy

przecież nigdy ani Polsce, ani żadnemu innemu krajowi do brze nie służyła.

Można powiedzieć, że jest to kontynuacja linii Balcerowicza?

Nadwiślański liberalizm pojawił się – a dokładniej został zaimportowany – na początku lat 90. XX w. w postaci szoku bez terapii. W sposób ewidentny koszty takiej polityki były dużo większe niż te nieuniknione, podczas gdy rezultaty okazały się zdecydowanie mniejsze od możliwych do osiągnięcia. W jakimś stopniu tę politykę powtórzono pod koniec lat 90. XX w., tyle tylko, że wówczas na neoliberalizm nałożyły się pewne elementy prawicowego populizmu. Była to mieszanina wyjątkowo dewastująca polską gospodarkę. Mimo że ówczesny partyjny przywódca Unii Wolności zapowiadał w kampanii wyborczej 1997 r.

dziennikarzy „dziurą Bauca” i dzięki temu przeszedł on do historii, choć tak naprawdę tę dziurę zrobił Balcerowicz swoją polityką niepotrzebnego ochłodzenia gospodarki.

I teraz nasuwa się pytanie – czy obecny rząd kontynuuje podobnie wadliwą politykę? Tak, trzeci raz w okresie transformacji polskiej gospodarki powtórzono błąd tego samego typu. Znowu chciano straszliwie równoważyć budżet i ograniczać tempo narastania długu publicznego, a osiągnięto efekt „przewrotny”, przeciwny do zamierzonego. A to dlatego, że nieprawidłowo zdefiniowano sytuację, zastosowano niewłaściwą sekwencję działań, w sposób fałszywy poustawiano instrumenty makroekonomiczne – rządu w sferze polityki fiskalnej, a NBP w odniesieniu do polityki monetarnej. Tak więc jest to trzeci błąd polskiej

Polska gospodarka w ostatnich latach idzie na dwie trzecie, może trzy czwarte „gwizdka”, zaś przy lepszym ustawieniu parametrów makroekonomicznych, przy stworzeniu korzystniejszego klimatu dla rozwoju przedsiębiorczości – potencjał gospodarczy mógłby być wykorzystywany lepiej.

okazji – poprzez uruchomienie mechanizmów wspólnego finansowania z funduszami strukturalnymi Unii Europejskiej – wspomóc wysiłki inwestycyjne na szczeblu lokalnym, samorządów terytorialnych, idące głównie w obszar budownictwa infrastrukturalnego czy ochronę środowiska. Wówczas nie nastąpiłoby aż tak duże zawężenie bazy podatkowej i nie doszło w istocie do załamania równowagi finansowej państwa. Bo jak inaczej ocenić do prowadzenie do prawie 8 proc. deficytu w stosunku do PKB w roku 2010, pomimo wzrostu PKB o ok. 4 proc.? W roku bieżącym sytuacja nie jest jakościowo lepsza; deficyt sektora finansów publicznych oscyluje wokół 5,5 proc. pomimo wzrostu gospodarczego blisko 4 proc. W głównej mierze dlatego, że zawężała się baza podatkowa. To jest wielka wpadka polityki gospodarczej mylącej cele ze środkami i opierającej się w zbyt dużym stopniu na neoliberalnej doktrynie ekonomicznej, która

podwojenie PKB w ciągu dziesięciu lat, to później jako wicepremier i minister finansów, szybko sprowadził gospodarkę do zerowej dynamiki. Trzeba pamiętać, że podwojenie czegoś, licząc procentem składanym, wymaga stopy wzrostu 7,2 proc. Kończąc realizację programu „Strategia dla Polski” wiosną 1997 r., zostawiałem gospodarkę z najwyższym w ciągu ostatniego z górą kwartału wzrostem PKB 7,5 proc. licząc realnie po wyeliminowaniu inflacji. Zatem aby podwoić PKB, wystarczyło tylko utrzymać takie tempo wzrostu przez następną dekadę. Niestety, w czwartym kwartale 2001 r. tempo wzrostu wynosiło śladowe 0,2 proc. I tak jak pierwszy przewrotny efekt fiskalny miał miejsce w roku 1992, który w rezultacie szoku bez terapii zamknął się deficytem budżetu państwa na poziomie 6,7 proc. PKB, ponownie doprowadzono do załamania sektora finansów publicznych w końcu tamtej dekady. Zostało to nazwane przez

odslony współczesnego leseferyzmu, który określam jako nadwiślański liberalizm.

III Rzeczpospolita ma już swoją historię. W wymiarze gospodarki na przestrzeni ostatnich 20 lat transformacji realizowano dwa główne programy – jednym z nich był tak zwany „Plan Balcerowicza”, implementowany na początku lat 90. XX w. i później kontynuowany w różnych wariantach przez poszczególne ekipy. Drugim programem była Pana autorstwa „Strategia dla Polski” i jej późniejsze rozwinięcie w postaci „Programu Naprawy Finansów Rzeczypospolitej”. Na czy polegają różnice?

W każdym z tych podejść w inny sposób rozumie się nadrzędne cele gospodarki. Tzw. terapia szokowa była koncepcją w zasadniczym stopniu zaimportowaną z zewnątrz. Tu ją tylko autoryzowano, ale przecież nie tu ją wymyślono, o czym bez żenady i w sposób

nie służy Polsce

trochę lekceważący dla swoich polskich kolegów pisze choćby Jeffrey Sachs. Ten typ myślenia ekonomicznego był ukierunkowany, po pierwsze, na liberalizowanie i w ślad za tym ustabilizowanie inflacji na jak najniższym poziomie i, po drugie, na przesunięcie jak największej części praw własności w ręce prywatne, zgodnie z tym, co znane jest jako „konsensus waszyngtoński”. A więc postulaty jak najdalej posuniętej liberalizacji przy szybkiej prywatyzacji i jednocześnie twardej polityce tak fiskalnej rządu, jak i monetarnej banku centralnego. Resztą miałyby się już zająć słynna „niewidzialna ręka rynku”. Jest to koncepcja ograniczonego, małego państwa, o bardzo niewielkiej skali interwencjonizmu. Przy tym podejściu za cele polityki gospodarczej uważa się zrównoważone finanse publiczne, niski poziom inflacji, stabilny kurs walutowy itp.

Tymczasem w „Strategii dla Polski” te wszystkie elementy zostały potraktowane jako instrumenty polityki gospodarczej, a nie jej cele. Celem polityki gospodarczej jest szybki, długotrwały rozwój społeczno-gospodarczy, który wprawdzie opiera się na dynamicznym wzroście gospodarczym, ale do niego się nie ogranicza. Oprócz szybkiego wzrostu gospodarczego – a przecież w latach 1994-97 był on najwyższy podczas transformacji – potrzebna jest jeszcze także określona doza spójności społecznej, a więc pewna równowaga społeczna, niezbyt daleko idące nierówności w podziale dochodu i majątków. Relacje dochodów z jednej strony sprzyjać powinny motywacji, a z drugiej nie obracać się przeciwko efektywności gospodarczej. Chodzi tu także o odpowiednią troskę o jakość kapitału ludzkiego, o co należy dbać poprzez należyte inwestowanie w człowieka. Potrzebna jest również dbałość o równowagę środowiskową, ekologiczną – na styku działalności gospodarczej człowieka i społeczeństwa z przyrodą.

W kontekście tych wszystkich wyzwań „Strategia dla Polski” była kompleksowym, wielowymiarowym, heterogenicznym, nieortodoksyjnym, dynamicznym programem zrównoważonego rozwoju społeczno-gospodarczego. Nie przez przypadek składało się na nią aż 14 tzw. programów węzłowych – począwszy od takich, które podkreślały znaczenie instytucjonalnych przeobrażeń, co w pierwszej kolejności miało skutkować doprowadzeniem Polski do OECD, co udało się zwię-

zić sukcesem już w 1996 r., a z drugiej strony otwierających pole do twardej, trudnych negocjacji w sprawie przystąpienia do Unii Europejskiej, co z kolei udało się osiągnąć, kiedy byłem kolejny raz w rządzie, czyli w latach 2002-03. To wtedy udało się pozamykać pewne pozycje, otwarte wcześniej w „Strategii dla Polski”. Ale w tym dokumencie znajdowały się również inne programy węzłowe, kompleksowe, dotyczące choćby: wielofunkcyjnego rozwoju wsi i rolnictwa, reform systemu emerytalnego, poprawy konkurencyjności polskich przedsiębiorstw, reformowania sektora finansowego czy inwestowania w kapitał ludzki. To była nowatorska wizja zmian strukturalnych w fazie głębokiej transformacji ustrojowej.

W czym tkwił główny błąd środowiska, które Pan określa mianem „nadwiślańskich liberałów”?

Szok bez terapii polegał zasadniczo na przekonaniu, że daleko posunięta liberalizacja i prywatyzacja, przy twardej polityce finansowej, wystarczy, żeby wskutek rozwijającej się oddolnej przedsiębiorczości, gospodarka szła do przodu. Niestety, to jest warunek konieczny, ale nie wystarczający. Finanse publiczne powinny być w miarę zrównoważone, to znaczy nierównowaga może występować tylko w takim stopniu niezakłócającym reprodukcji makroekonomicznej w długim okresie. Własność prywatna powinna być dominującą formą życia gospodarczego. Jednak liberalizacja i prywatyzacja nie mogą być uzyskiwane kosztem zbyt daleko posuniętego rozwariowania dochodowego, bo to eroduje spójność społeczną i musi obrócić się przeciwko wzrostowi gospodarczego, czego jedni neoliberalowie nie potrafią, a inni nie chcą pojąć. Z tego punktu widzenia nie ma się co dziwić, że radykalna polityka, oparta na „konsensusie waszyngtońskim”, nie zaowocowała spodziewanymi rezultatami. Ten nadwiślański liberalizm, realizowany na początku oraz na końcu lat 1990., po prostu nie wyszedł. Bo nie mógł, gdyż błędy tkwiły nie tylko w realizacji, ale przede wszystkim w założeniach.

Natomiast „Strategia dla Polski” – jeśli przyjąć się kryteriom wykonawczym, które zostały sformułowane ilościowo, w przypadku każdego węzłowego programu – szybko zaczęła przynosić zamierzone efekty. Dla każdego węzłowego programu zaproponowałem syntetyczny miernik pokazujący, jak mierzyć po-

stęp i jego skalę. To było unikatowe podejście, w którym to autor programu sam dołączył do niego miarkę, żeby ułatwić krytykom ocenę, co i w jakim stopniu się udało.

Jak wypadła ta weryfikacja?

Zdecydowanie dobrze. Można to sprawdzić. Jeśli zdarzyły się jakieś rozbieżności, to raczej dlatego, że byliśmy niedostatecznie optymistyczni. Dziś to wydawać może się śmieszne, ale wówczas zwalczano „Strategię dla Polski” jako program utopijny, przepelniony myśleniem życzeniowym i oparty na nierealistycznych przesłankach. Zarzucano jej nadmierny optymizm. Natomiast w niemal każdym przypadku rzeczywistość okazała się lepsza niż ta, którą zakładano na początku. Tak więc od strony merytorycznej ten projekt został zrealizowany zarówno w odniesieniu do zmian instytucjonalnych, jak i w sferze procesów realnych.

„Strategii dla Polski” z istoty dotyczyła długiej perspektywy czasowej. Co do konkretów, to obejmowała okres czteroletni, bo taka jest długość kadencji rządowo-parlamentarnej i w takich ramach były realizowane konkretne przedsięwzięcia, jednakże myśl przewodnia miała charakter strategiczny, zorientowany długofalowo.

Wychodziłem z założenia, że ten program i ta linia będą kontynuowane na dłuższą metę, z równie dobrymi efektami, jak w latach kiedy byłem w rządzie. Kiedy jesienią 1997 r. do władzy powróciła reprezentująca nurt nadwiślańskiego neoliberalizmu stara-nowa ekipa, napisałem artykuł zatytułowany „Wystarczy mieć rację”. Z tym tekstem związana jest ciekawa historia. Najpierw wysłałem go do „Polityki”, tygodnika, dla którego pisałem eseje tydzień w tydzień, przez wszystkie lata swojego pobytu w rządzie, nigdy nie nawalając, nigdy nie zawodząc, nigdy się nie spóźniając. I oto, gdy kilka miesięcy po odejściu z rządu wysłałem ten artykuł, odnoszący się do sytuacji gospodarczo-politycznej po wyborach parlamentarnych 1997 r., odmówiono mi jego publikacji. Wówczas kolega, mieszkający na drugim końcu świata, zażartował, że być może nadeszły takie czasy, w których to ja będę musiał pisać w emigracyjnej, zagranicznej prasie. Poradził, abym wysłał tekst do paryskiej „Kultury”. Tak zrobiłem. Prawie natychmiast zatelefonował do mnie do Helsinek, gdzie przebywałem w ONZ-owskim instytucie ekonomii rozwoju, redaktor Giedroyc mówiąc, że to ciekawy tekst i ukaże się w najbliższym nu-

merze. W taki oto sposób został opublikowany w paryskiej „Kulturze”.

Ale myliłem się. Otóż nie wystarczy mieć racji... Trzeba jeszcze mieć władzę. Wtedy sądziłem, że główna linia „Strategii dla Polski” będzie w następnych latach kontynuowana, bo rząd AWS-UW nie posiada żadnej innej sensownej i zwartej koncepcji, wokół której mógłby się porozumieć. Uważałem, że skrajności w postaci z jednej strony neoliberalizmu pod doktrynerskim przywództwem szefa Unii Wolności, a z drugiej pravicowego populizmu, który przyświecał w dużym stopniu AWS, będą się wzajemnie neutralizować i formacje te pójdą nurtem pragmatycznym, który koniec końców będzie oznaczał kontynuację głównej linii „Strategii dla Polski”. Jednak tak się nie stało i z tego powodu zdolowano polską gospodarkę, doprowadzając do stagnacji i załamując finanse publiczne na przełomie lat 90.

To był przełomowy moment okresu transformacji, w którym wytracono dynamikę rozwoju gospodarczego?

W czwartym kwartale 2001 r. wzrost gospodarczy wynosił 0,2 proc. Wówczas prof. Marek Belka rzucił hasło: „1-2-3”. W roku 2002 wzrost gospodarczy miał wynieść 1 proc., następnie 3 i 5 proc. Gdy po kilku miesiącach sprawowania przez niego funkcji wicepremiera i ministra finansów na początku lata 2002 r. wróciłem do rządu na to stanowisko, powiedziałem nie „1-3-5”, ale „3-5-7”. Ale przecież to nie było li tylko hasło, to dużo więcej, ponownie bowiem sformułowalem szeroki, kompleksowy, dynamiczny program rozwoju społeczno-gospodarczego znany jako „Program Naprawy Finansów Rzeczypospolitej”.

I znowu musieliśmy wysłuchiwać częściej krytyki i czytać w pewnych gazetach, a w jednej w szczególności, że jest to myślenie życzeniowe. „Gazeta Wyborcza” z lubością, na pierwszej stronie, opublikowała artykuł pod znamienym tytułem: „Kryzys a’ la Kołodko”. I co się stało? Ponownie nieortodoksyjną polityką udało się zdynamizować gospodarkę i już po raz drugi wyciągnąć ją z zapaści, do której doprowadziły neoliberalne błędy. Poszliśmy szybko ścieżką „3-5-7”. W pierwszym kwartale 2004 r. tempo wzrostu PKB ponownie, jak w czasie „Strategii dla Polski”, wyniosło 7 proc. Stało się to wskutek odpowiednich zmian strukturalnych i niekonwencjonalnych działań, w ramach których

głównym jednorazowym posunięciem interwencyjnym było oddłużenie ponad 60 tys. firm, z których 99,3 proc. to małe i średnie podmioty prywatne. Apologeci neoliberalnej koncepcji gospodarczej dwoili się i troili, aby wmówić opinii publicznej – a także zagranicy, co było tyleż cyniczne, co szkodliwe, że to jakoby próba pomocy państwowym molochom, które według nich są, oczywiście, z istoty nieefektywne. Natomiast prawda była inna. To było wyciągnięcie przez państwo pomocnej dłoni do małych oraz średnich przedsiębiorstw i ocalenie ich przed nieuchronnym upadkiem, w obliczu którego postawił je nadwiślański neoliberalizm. Uratowało te firmy, ale nie na koszt podatnika, lecz na jego korzyść. NOT, niezależna Naczelna Organizacja Techniczna, przyznała mi wówczas nagrodę za uratowanie 210 tys. miejsc pracy. Tak to oszacowali eksperci. Czwierć miliona pracowników to z rodzinami być może nawet milion ludzi...

Następnie opracowaliśmy program średnio i długookresowych zmian strukturalnych i wzmocnienia instytucji rynkowych, który służył poprawie konkurencyjności polskiej gospodarki, w szczególności w ostatnich latach przedakcesyjnych i w początkowym okresie członkostwa w Unii Europejskiej. Właśnie po to, żeby iść do przodu ścieżką wzrostu PKB rządu od 5 do 7 proc., bo taki potencjał Polska posiada. Program ten, koncentrując się na naprawie finansów publicznych, sprzyjał nie tylko rozkwitowi prywatnej przedsiębiorczości, lecz również sprawliwsiemu niż wcześniej (i, niestety, potem) podziałowi owoców wzrostu wydajności pracy pomiędzy grupy społeczne, regiony i środowiska zawodowe.

Niestety w wyniku pewnych sprzeczności wewnątrz koalicji rządzącej, a jeszcze bardziej zmiany politycznej, jaka nastąpiła po roku 2005, ta linia programowa nie rozwinięła skrzydeł ani w pełni, ani na dłuższą metę. Nie udało się zatem osiągnąć tak wiele, jak udało się to w okresie realizacji „Strategii dla Polski”. Gospodarka wprawdzie nabrała dynamiki, ale dość szybko siadła, wkrótce po moim odejściu z rządu. Potem nastąpiło raz jeszcze przyspieszenie, głównie dzięki członkostwu w Unii Europejskiej. Opierając się na analizach specjalistów, można szacować – a ja podzielam ich opinię – że Polska w ciągu pierwszych lat członkostwa w Unii zyskała około

Nadwiślański liberalizm pojawił się – a dokładniej został zaimportowany – na początku lat 90. XX w. w postaci szoku bez terapii. W sposób ewidentny koszty takiej polityki były dużo większe niż te nieuniknione, podczas gdy rezultaty okazały się zdecydowanie mniejsze od możliwych do osiągnięcia.

1,5 punktu procentowego dodatkowego wzrostu PKB.

Czyli część wzrostu gospodarczego Polski nie wynikała z naturalnej siły naszej gospodarki, tylko z powodu przystąpienia do Unii Europejskiej?

Przynależność do UE to nie jakiś obcy, egzogeniczny element, ale immanentna cecha naszej gospodarki. Dodatkowo zyskaliśmy te półtora procent nie tylko dlatego, że poprzez mechanizmy redystrybucji w ramach Unii Europejskiej napływały do nas środki netto – fundusze strukturalne, spójności i dopłaty bezpośrednie dla rolników – lecz również dzięki wzrostowi naszych notowań na scenie globalnej. Spowodowało to bardziej wartki dopływ inwestycji bezpośrednich i portfelowych prywatnych oszczędności z innych części gospodarki światowej. Te strumienie dodatkowych środków mają oczywiście znaczenie, współfinansując nasz rozwój, jednakże najważniejsze jest wzmocnienie instytucjonalne, które albo dało nam, albo, jak wolał inni, musiało przystąpienie do UE. Musieliśmy zaadaptować odpowiednie regulacje prawno-gospodarcze. To właśnie te trzy czynniki – fundusze europejskie, dopływ bezpośrednich inwestycji zagranicznych oraz wzmocnienie instytucjo-

nalne – dołożyły do dynamiki gospodarczej, która była funkcją wewnętrznym przemian – te około 1,5 proc. Innymi słowami, jeżeli w danym roku dynamika wzrostu gospodarczego wyniosła 5,5 proc., to 4 punkty uzyskiwaliśmy autonomicznie, zaś 1,5 dlatego, że funkcjonowaliśmy w ramach Unii Europejskiej. Podobnie było do czasu, kiedy w Europie pojawiły się poważne zaburzenia kryzysowe, które dzisiaj w sposób oczywisty utrudniają wzrost polskiej gospodarki.

Z punktu widzenia rozwoju społeczno-gospodarczego Polski ważne są nie tylko wewnętrzne programy, implementowane w sferze gospodarki, ale również całe otoczenie zewnętrzne, bo żyjemy przecież w ramach jednego europejskiego państwa. Skąd w Europie biorą się tak gwałtowne kryzysy i silne zaburzenia gospodarcze? Wcześniej takich zjawisk nie było, a teraz upadają poszczególne państwa. W najdalej posuniętych diagnozach mówi się nawet o rozpadzie strefy euro, o powstaniu „Europy dwóch prędkości”. Jak Pan diagnozuje sytuację w Europie?

W pewnym stopniu Unia Europejska dwóch prędkości już istnieje. Mamy 17 państw, które posiadają wspólną walutę i wspólną politykę pieniężną, choć niestety wiele odrębnych kierunków polityki budżetowej, co jest jedną z przyczyn zaburzeń kryzysowych. I mamy pozostałych 10 państw, a niedługo następne: już za półtora roku Chorwacja, potem jeszcze inne kraje byłej Jugosławii, a później być może Ukraina i niektóre inne republiki poradzieckie, gdyż Unia Europejska przetrwa obecny kryzys i będzie się dalej poszerzała. Niektórzy z przyszłych członków UE mogą znaleźć się w obszarze euro nawet wcześniej niż Polska, kiedyś lider rynkowych reform w czasach socjalizmu, potem posocjalistycznych przeobrażeń.

Jak piszę w książce „Wędrujący świat”, rzeczy dzieją się tak, jak się dzieją, ponieważ wiele wydarzeń za-

chodzi naraz. Najczęściej w złożonych zjawiskach i procesach gospodarczych nie ma jednej przyczyny. Jest pewna więźka uwarunkowań, nie tylko stricte ekonomicznych, ale także społecznych, kulturowych, politycznych, technologicznych, przyrodniczych, które mogą się ułożyć tak, że albo jest boom i rozkwit, czy dobrobyt i zadowolenie, albo jest wypadka – stagnacja, recesja, załamanie, kryzys. Akurat jesteśmy w fazie, kiedy pewne zjawiska oraz tendencje nałożyły się na siebie w sposób niekorzystny. Na pewno dla kryzysu, szarpiącego obecnie Unię Europejską, fundamentalne znaczenie ma fala, która przeszła przez Atlantyk, to znaczy uderzenie kryzysu amerykańskiego.

Został on wywołany przez wymykający się spod kontroli neoliberalny kapitalizm, ten współczesny leseferizm, polegający na daleko posuniętej deregulacji sektora finansowego, co poprzez stosowne manipulacje służy poprawie sytuacji materialnej nielicznych kosztów większości. Wskutek rozkiełznania się neoliberalizmu po 1980 roku, doszło do tak wielkiej aktywności nie do końca uczciwego kapitalizmu spekulantów, że wypierał i dominował on nad uczciwym kapitalizmem przedsiębiorców. Przed tąpaniem na rynku amerykańskim poniżej standardowych kredytów hipotecznych, w roku 2007, już ponad 40 proc. zysków amerykańskich firm, to były profity sektora finansowego, głównie nic nie wnoszących do rozwoju spekulantów, nazywanych – oczywiście – inwestorami lub pośrednikami finansowymi.

Prezydent USA, Barack Obama, w obliczu kryzysu sięgnął po interwencjonizm...

Państwo ratowało banki przed upadkami po to, aby nie doszło do długotrwałej fazy depresji i aby w ten sposób nie zostało wplątane w niekontrolowany kryzys społeczny i polityczny. To nie jest jeszcze sytuacja rewolucyjna, ale gdyby pozwolić na falę niekontrolowanych upadłości banków i funduszy hedgingowych, to wskutek, nieuchronnie za tym idącej głębokiej recesji, długotrwałej depresji, masowego bezrobocia

i szerzącej się biedy, mogłaby taką się stać. Trzeba uważać. Podobna sytuacja, jak w USA, miała miejsce w Wielkiej Brytanii, w której skokowo, w ślad za interwencją państwa, przy użyciu środków publicznych, wzrósł deficyt budżetowy. Co ważne, na elementy polityki neoliberalnej nakładają się wątki populistyczne. Niektóre kraje – ich społeczeństwa i władze – szły na łatwiznę, która nie mogła trwać zbyt długo, bo nie da się długo żyć ponad stan. Amerykanie żyją ponad stan w sposób ewidentny i muszą wreszcie to zrozumieć. Tymczasem cały czas jeszcze wielu z nich nie pojmuje, że muszą

W pewnym stopniu Unia Europejska dwóch prędkości już istnieje. Mamy 17 państw, które posiadają wspólną walutę i wspólną politykę pieniężną, choć niestety wiele odrębnych kierunków polityki budżetowej, co jest jedną z przyczyn zaburzeń kryzysowych.

obniżyć standard życia, bo na utrzymanie obecnego ich nie stać, gdyż żyli – i żyją – po części na cudzy koszt. Żądają od Chin umocnienie juana, co ma obniżyć chińską konkurencyjność i zniechęcić Amerykanów do importu, który wskutek aprecjacji chińskiej waluty stałby się mniej opłacalny, ale nie chcą dopuścić myśli, że aby zwiększyć konkurencyjność swego eksportu, muszą obniżyć koszty, także płace i zyski.

Jednakże europejski kryzys finansowy – poza przypadkiem Grecji, gdzie życie ponad stan było widoczne gołym okiem, nawet przez turystów odwiedzających ten piękny kraj – wziął się nie tyle z życia pand stan, jak to próbują wmówić neoliberalowi, ale stąd, że rządy, starając się uniknąć przełania kryzysu ze Stanów Zjednoczonych na jeszcze większą skalę, niż i tak to już nastąpiło w wyniku współzależności globalizacji, nie dopuścili do niekontrolowanych perturbacji i zakłóceń w sektorze

bankowym i na rynkach finansowych. Wymagało to uruchomienie ogromnych pakietów fiskalnych. Skutki widać prawie wszędzie, począwszy od Włoch i Wielkiej Brytanii, poprzez Hiszpanię i Francję, a skończywszy na wielu innych, mniejszych państwach. Specjalne pakiety fiskalne były stosowane również w krajach niedotkniętych recesją, nawet w Chinach, gdzie w trybie specjalnym wpompowano do gospodarki ponad 3 biliony juanów, a więc ponad równowartość, ponad 500 miliardów dolarów. Jeśli jakiś kraj – jak Chiny albo Arabia Saudyjska – miał nadwyżki budże-

stwie czy nawet o formie federacyjnej Europy, ale kierunek podejmowanych inicjatyw i decyzje grudniowego szczytu UE są słuszne. No, ale ktoś może powiedzieć: nic nowego pod słońcem, przecież to już było! Gdyby rygorystycznie przestrzegać kryteriów z Maastricht – które określają, na jakich warunkach wchodzi się do obszaru euro, ale także honorować zasady Paktu Stabilizacji i Wzrostu, obowiązującego wszystkich 27 członków UE, Polskę też, to obecny kryzys w Europie byłby zdecydowanie mniej uciążliwy. Ale byłby, bo amerykańska fala była zbyt silna, by nie narobić szkód.

Skąd bierze się dysonans w opiniach światowej sławy ekspertów, istniejący pomiędzy jednej strony – podpowiedziami formułowanymi wobec Polski, a z drugiej – realną polityką, która w czasie kryzysu jest realizowana w poszczególnych krajach? Zagraniczni ekonomiści zalecają nam ograniczanie roli państwa, niepodejmowanie działań w obszarze gospodarki, pozostawienie wszystkiego naturalnym żywiołom gospodarczym; zaś we własnych krajach ochoczo odwołują się do interwencjonizmu, implementują instrumenty ingerencji państwa w gospodarkę. W rezultacie dochodzi do pewnego paradoksu.

Główny nurt polskich mediów usiłuje narzucić taką narrację, jednak to nie jest prawda. Ktoś, kto dużo podróżuje po świecie bądź sięga do materiałów źródłowych, a nie opiera się tylko na donosach TVN 24, „Gazety Wyborczej” czy tygodnika „Wprost”, wie, że tak nie jest. Dzisiaj zdecydowanie głośniejszym głosem opowiadającym się za zwiększeniem stopnia dobrej interwencji państwa. Dominuje pogląd – często cytowany, gdy wypowiada go prezydent Stanów Zjednoczonych Barack Obama – że problem nie sprowadza się do małego czy dużego państwa, tylko do skutecznego państwa. I ma rację, gdyż rzecz nie w tym, czy państwo jest „małe”, czy „duże”, silne czy słabe, „tanie” czy „drogie”. Państwo ma być przede wszystkim skuteczne, co ma przejawiać się z jednej strony w tworzeniu regulacji, sprzyjających funkcjonowaniu i ekspansji prywatnej przedsiębiorczości, z drugiej natomiast ma wspomagać spójność społeczną. Jednakże do tego imperatywu – twórczego i skutecznego państwa – należy podchodzić ostrożnie, gdyż państwo niejednokrotnie tworzy rozmaite problemy. I to jest właśnie woda na neoliberalny młyn: skoro państwo niekiedy tworzy problemy, zamiast je rozwiązywać, czy w ich rozwiązywaniu pomagać – precz z państwem! Już tylko krok od neoliberalizmu do anarchokapitalizmu.

To oczywista prawda, że tak kryzys europejski, jak i amerykański po części wziął się stąd, że państwo popełniło konkretne błędy. Raz to brak regulacji, innym razem jej nadmierność, raz to niedostatek interwencji, kiedy indziej przesada w tej materii, a zawsze zbiurokratyzowanie gospodarki i skorumpowanie polityki szkodzą. Jednak obecnie wołanie o całkowite wycofanie państwa z gospodarki jest jeszcze większym błędem i do brze, że nie należy do głównego nurtu poglądów. Tak może uważają zapiekli amerykańscy republikanie oraz ich zaplecze lobbystyczne i ideowo-polityczne, które jest zorientowane na współczesny leseferizm, czyli neoliberalizm albo – jak mówią sami Amerykanie – neokonserwatyzm. Neoliberalny paradygmat forsuje rozmaite amerykańskie think-tanki czy instytuty, takie jak na przykład American Enterprise Institute albo CATO, a także niektóre gazety. Chociaż kiedy przebywałem ostatnio w Nowym Jorku, to próbowałem mnie przekonywać, że dzisiaj „Wall Street Journal” plasowany jest na lewo od „New York Times”, który w warunkach amerykańskich uchodzi za pismo raczej lewicowe. Ale w Stanach Zjednoczonych terminy lewica i prawica oznaczają coś zgoła innego niż u nas, na naszym rodzinnym gruncie.

W Polsce można odnosić wrażenie, że wśród tak zwanych – celowo używam sformułowania „tak zwanych” – ekspertów, fachowców, analityków dominuje neoliberalny punkt widzenia. Szeroko piszę o tym w pierwszym rozdziale książki „Wędrujący świat”, w którym wyjaśniam, skąd biorą się prawda, błąd i kłamstwa w ekonomii i polityce, i jak sobie z tym poradzić. Notabene, to ciekawe, że Columbia University Press, publikując amerykańskie wydanie książki, tak nadała jej tytuł: „Truth, Errors, and Lies: Politics and Economics in a Volatile World”. To jest bardzo skomplikowane zagadnienie. Bo, jeśli ktoś głosi tak ewidentną nieprawdę, że na przykład w obecnej sytuacji należy zmniejszyć interwencjonizm państwowy bądź jeszcze dalej, rozciągnąć sferę deregulacji gospodarczej, zamiast odpowiednio zreinstytucjonalizować i uporządkować reguły gry w sektorze finansowym – i to w skali globalnej – to nie ma racji. A jak ktoś nie ma racji – obojętne czy noblista z Harvardu, czy publicysta ze stołecznej gazety – to stoi w obliczu paskudnej alternatywy, przed którą ludzie mądrzy i uczciwi nie stają: myli się albo kłamie. W pierwszym przypadku, wybaczałem, rzecz ludzka, jak powiadają, choć profesjonalnie – wstyd. Zawodowcy – naukowcy, badacze, doradcy, eksperci, analitycy,

GRZEGORZ W.
KOŁODKO

WĘDRUJĄCY
ŚWIAT

Przełożył i skł.

Książki prof. Grzegorza Kołodko – „Wędrujący świat” i „Świat na wyciągnięcie myśli” są prawdziwymi bestsellerami. Zostały przetłumaczone na 10 języków (w tym chiński i arabski), a czytają je dziesiątki tysięcy osób. Autor wyjaśnia w nich charakter dzisiejszego świata oraz sens współczesnych czasów. Te pozycje naprawdę warto przeczytać: www.wedrujacyswiat.pl



Fajterzy ekonomi trzymają się razem. Na zdjęciu prof. Grzegorz Kołodko, wspólnie ze znakomitym amerykańskim filozofem, politologiem oraz ekonomistą – Francisem Fukuyamą, głównym współtwórcą doktryny konserwatywnej administracji rządowej prezydenta USA Ronalda Reagana i autorem słynnego eseju „Koniec historii”



Prof. Grzegorz Kołodko w otoczeniu pięknych kobiet podczas Forum Ekonomicznego w Krynicy.

publicyści, liderzy organizacji gospodarczych – nie powinni się mylić. Mają wiedzieć, co od czego naprawdę zależy. W drugim przypadku ktoś kłamie. Dlaczego? Czasami ze względu na zacietrzewienie ideologiczne, ale również ze względów psychologicznych; przyznania się do popełnienia błędów wymaga odwagi i wiąże się z wzięciem odpowiedzialności za ich konsekwencje. Wobec tego lepiej iść w zaparte i dalej łąć. A potem często już sami w te łągarstwa wierzą. Czy ktoś spotkał któregoś z tych tzw. ekspertów i fachowców, tych słynnych gazetowo-telewizyjnych ekonomistów, przynajmniej się do pomyłki? Tu nikt się nie mylił! W Europie nikt się nie mylił! W Stanach Zjednoczonych nikt się nie mylił! Jednakże najczęściej kłamstwa w ekonomii i w polityce nie są niczym innym, jak po prostu instrumentem służącym do manipulacji opinią publiczną w warunkach demokracji po to, aby służyć partykularnym interesom. Od tej strony zaiste neoliberalizm jest mistrzem.

To w takim razie skąd się wziął kryzys?!

Z tego, że jedni się mylili, inni kłamali, a jedni i drudzy, nie mając racji, mieli decydujący wpływ na podejmowanie dalekosiężnych decyzji. Jeśli mylą się i kłamią w Korei Północnej albo w Mińsku – mała bieda; jeśli w Białym Domu albo na Wall Street – wielkie kłopoty. Zawsze są jacyś „oni”. Jedni zwalają winę na rząd, inni na rynek, twierdząc jakoby był

to ogólny kryzys kapitalizmu. Ale to nie jest prawda, bo kapitalizm sobie z obecnymi problemami poradzi. Niedawno podczas wykładu w London School of Economics zapytano mnie, czy jest alternatywa wobec kapitalizmu? To zależy od definicji, odpowiedziałem. Jeżeli przez kapitalizm rozumieć gospodarkę rynkową z dominującym sektorem prywatnym, kierującym się motywem zysku, to w dającej się przewidzieć przyszłości tak zwanej alternatywy, czyli innej opcji nie ma. Natomiast w ramach tej formacji mogą istnieć różne subsystemy, różnie funkcjonujące i różnie sobie radzące. Pomijając już liczne przypadki kapitalizmu – no bo czegoż innego – w krajach tzw. wyłaniających się rynków, w rodzaju Nigerii czy Pakistanu, Brazylii czy Indonezji, kapitalizm istnieje w świetnie radzących sobie pod każdym względem krajach skandynawskich, tyle że jest mocno nasączony treściami społecznymi. Zabiega się tam nie tylko o szeroko rozumianą równowagę gospodarczą, lecz również o równowagę społeczną, z jednej strony, oraz o ekologiczną, z drugiej. Czymś innym natomiast są gospodarki kapitalistyczne typu anglosaskiego, o dużym ładunku ideologii i polityki neoliberalnej, która de facto służy poprawianiu sytuacji materialnej nielicznych, którzy już i tak nieźle się drobili, kosztem większości. Niektórym trudno w to uwierzyć, ale w ciągu ostatnich 30 lat dla blisko 80 proc. amerykańskiego społeczeństwa realne

dochody, w ogóle nie wzrosły. Tymczasem w tym samym okresie udział 1 proc. najbogatszych Amerykanów w dzielnym PKB zwiększył się z 10 do 20 proc., zaś udział płac w PKB obniżył z około 53 do zaledwie 43 proc. Czy tam nie było wzrostu produkcji?! Czy tam nie było wzrostu wydajności pracy?! W gospodarce, w której postęp naukowo-techniczny jest wciąż największy, gdzie wypracowywane są pewne wzorce najbardziej skutecznego zarządzania i marketingu? Oczywiście, że to wszystko było. Jednak daleko posunięta deregulacja rynków finansowych i określone zmiany w systemie i polityce budżetowej (podatki, transfery, wydatki), podyktowane ideologią neoliberalną, a nade wszystko naciskiem wąskich grup specjalnych interesów, doprowadziły do takiego nierównomiernego i w końcu kryzysogennego podziału efektów wzrostu gospodarczego.

Czy tę korektę gospodarki rynkowej, o której Pan wspominał, można nazwać trzecią drogą?

Nie lubię tego określenia i nie sądzę, aby w moich pracach występował ten termin. Nigdy nie powiedziałem na przykład o modelu skandynawskim, że jest trzecią drogą, pomiędzy państwowym socjalizmem a neoliberalnym kapitalizmem. Ale dzisiaj – prowadząc rozmowę z zupełnie różnych perspektyw w przypadku USA i Chin, a także Polski – kluczowe pytania i dla świata, i dla jego bardzo ważnych segmentów należy postawić nie tak, czy jest jakaś „trzecia droga”, bo jest ich znacznie więcej, lecz czy damy się jeszcze raz nabrać, czy jeszcze raz uda się to historyczne oszustwo, które doprowadziło do obecnego czasu zamętu i powtórnie wprowadzimy gospodarkę w koleiny neoliberalizmu, tylko trochę inaczej ucharakteryzowanego? Inaczej mówiąc, czy jeszcze raz powieździ się próba skierowania gospodarki na manowce, gdzie nieliczni będą się znowu wzbogacać kosztem wielu ludzi i przy pomocy swoich służalczych lobbystów ze środowiska akademickiego, politycznego, medialnego będą skutecznie niestety manipulować opinią publiczną pod kontem swoich interesów?

Ale istnieje jeszcze inne niebezpieczeństwo, którego absolutnie nie należy lekceważyć. To jest państwowy kapitalizm. On też posiada różne oblicza. Taki typ gospodarki występuje w pobliskiej Rosji i w odległych Chinach, w sąsiedniej Białorusi oraz dalekiej Wenezueli, w Iranie i Wietnamie, w niektórych krajach subsaharyjskiej Afryki i wielu państwach arabskich. To nie jest grupa homogeniczna; wręcz odwrotnie. W niektórych przypadkach można od niektórych z tych krajów nawet czegoś się

nauczyć. Niejeden biedny kraj może sięgnąć do dobrych praktyk na przykład szybko rozwijającego się Wietnamu czy Chin, ale ogólnie biorąc to nie są modele godne bezkrytycznego naśladowania.

Tak więc neoliberalizm to nie jedyne zagrożenie dla racjonalności gospodarczej. Zagroża jej – aczkolwiek inaczej i z odmiennych pozycji – także państwowy kapitalizm. Jednakże to ten pierwszy, nie drugi jest systemową przyczyną współczesnego kryzysu.

Jednak w niektórych krajach azjatyckich ta droga przynosi określone efekty?

W Wietnamie kapitalizm państwowy czy quasi-kapitalizm państwowy jest na pewno podstawą sukcesu gospodarczego tego kraju. Ale to nie oznacza, że tam nie ma problemów. Podobnie w Chinach. Jeżeli to jest już „kapitalizm państwowy”, a już nie „socjalistyczny rynek”, to ten system jest podstawą wielkiego sukcesu gospodarczego. Jednakże osiągnięty został on też niemałym kosztem. Pierwszy z nich ma charakter polityczny; to brak demokracji, która stanowi wartość samą w sobie i na długą metę zazwyczaj pomaga rozwojowi, chociaż na krótką może sprawy komplikować. Po drugie, sukces gospodarczy w Chinach okupiony jest bardzo wysokim skokiem nierówności społecznych. Skala nierówności w podziale dochodów bardziej przypomina rzeczywistość Stanów Zjednoczonych, kraju neoliberalnego kapitalizmu, i z socjalizmem nie ma już nic wspólnego. Trzeci wielki koszt to dewastacja środowiska naturalnego, co ze względu na ogrom tego kraju pociąga za sobą także konsekwencje globalne.

Tak więc jeżeli szukamy ścieżki na przyszłość – dla Polski i Unii Europejskiej, dla Chin i Stanów Zjednoczonych, dla krajów bogatych i dla tych, które chcą się wzbogacić, to stoimy nie tyle przed alternatywą, czy wybrać Scyllę neoliberalnej gospodarki rynkowej, czy też Charybde państwowego kapitalizmu. Pomiedzy tymi przeciwieństwami jest paleta innych subsystemowych rozwiązań. Nie wszystkie są sensowne, ale z pewnością najbardziej godna polecenia jest społeczna gospodarka rynkowa, która współcześnie opierać się musi na nowym pragmatyzmie, który proponuje we wspomnianym „Wędrującym świecie”.

Czyli żaden z dwóch dominujących dotychczas modeli gospodarczych nie jest optymalny?

Żaden, bo żaden z nich nie rokuje dobrze na dłuższą przyszłość. To są czasu wymagające podejścia heterogenicznego. Czas ortodoksji minął. Nie ma wątpliwości, że bez-

powrotnie. Nie ma jednej teoretycznej szkoły, która potrafiłaby wszystko wyjaśnić oraz zaproponować, co dalej robić. O to będzie toczyły się nieustające spory intelektualne i polityczne. Jeżeli nie uda się pokonać wciąż wierzącego neoliberalnego kapitalizmu, to świat nie ma przed sobą dobrej przyszłości. Ale jeżeli tzw. konsensus waszyngtoński miałby zostać zastąpiony „konsensusem pekińskim”, który lansuje koncepcję w istocie państwowego kapitalizmu jako antidotum na kryzysy i receptę na szybki wzrost gospodarczy, to z czasem też może przybywać problemów. Tak czy inaczej, w przypadku obu tych skrajności narastać najpierw będzie skala społecznego niezadowolenia, później gniewu, a potem nawet nastroju rewolucyjnego. Pewne symptomy tego procesu już widać. Inaczej przejawiają w postaci „arabskiej wiosny”, inaczej w postaci akcji w rodzaju „Occupy Wall Street”, inaczej w Północnej Afryce i na Bliskim Wschodzie, inaczej po drugiej stronie Morza Śródziemnego w Europie Południowej. Jeszcze inaczej będzie to wyglądało u nas, bo i tu nadejdzie wiosna. Zaraz po zimie.

Premier Donald Tusk ogłosił niedawno exposé. Czy zawarte w nim propozycje są wystarczające, aby zredukować dług publiczny i przywrócić Polskę na drogę dynamicznego rozwoju społeczno-gospodarczego?

Te propozycje prowadzą do spowolnienia tempa wzrostu, co już widać, bo zamiast 4 proc. PKB, które jeszcze ten sam premier i ten sam minister finansów zapowiadali do chwili wyborów parlamentarnych, w przyszłym roku osiągniemy zaledwie około 2 proc. W roku 2013 będzie niewiele więcej. Tymczasem potencjał wzrostu polskiej gospodarki oscyluje wokół 5 proc. Niestety, nadwiślański neoliberalizm nie potrafi go w pełni uruchomić.

Jeśli działania zapowiedziane przez premiera staną się faktem, to mogą nieco poprawić sytuację budżetową, jednak nie w takim stopniu, żeby dręczące nas problemy zostały rozwiązane. Zapowiedziane posunięcia mogą okazać się niewystarczające do odwrócenia tendencji narastania długu publicznego. To wymaga szybszego nominalnego tempa wzrostu gospodarczego niż wynosi oprocentowanie długu publicznego, ale przecież na to się nie zanosi. Obietnice, że w roku 2015 dług publiczny zostanie zredukowany z obecnych prawie 55 proc. do 47 proc., są nierealistyczne. Tego nie da się osiągnąć przy kontynuacji obecnej polityki. To byłoby możliwe albo poprzez istotne poszerzenie bazy podatkowej

na ścieżce szybkiego wzrostu, na co przy zastosowaniu zapowiadanej koncepcji się nie zanosi, albo poprzez podniesienie obciążeń podatkowych ludności i przedsiębiorców, czego ze względów doktrynalnych i wskutek ulegania partykularnym naciskom ten rząd zrobić nie chce.

Nie można nie podkreślić, że wiele przedwyborczych „zapewnień” Platformy Obywatelskiej zostały zakwestionowanych w sejmowym exposé premiera. Przed wyborami rząd mówił co innego, a po wyborach ogłosił co innego. Obiecywano 4-procentowe tempo wzrostu gospodarczego, utrzymanie określonych wydatków, niezwiększanie obciążeń fiskalnych producentów i konsumentów. Tymczasem nazajutrz po wyborach przyznano, że realna sytuacja gospodarcza jest dużo gorsza i wymaga bardziej drastycznej polityki. Mogę powiedzieć jeszcze więcej – przyszłoroczny budżet, którego zrewidowany projekt jest już oparty na bardziej realistycznych niż poprzednio założeniach, również może okazać się niewykonalny i zostanie skierowany do nowelizacji. Jeżeli rząd dalej będzie się upierał przy swojej polityce, to niestety zostanie zmuszony do podniesienia obciążeń podatkowych na jeszcze większą skalę, niż już teraz, wskutek swoich wcześniejszych błędów, powinien to uczynić. Wtedy, oczywiście, zrzucić będzie odpowiedzialność za gorszą, niż zapowiadał, sytuację ekonomiczną nie na swoje fałszywe założenia, nie na własną politykę opartą na szkodliwej doktrynie neoliberalnej, ale na tych „onych”. A ponieważ w gospodarce światowej i w Unii Europejskiej trudności gospodarcze szybko nie przeminą, będzie na kogo przerzucać odpowiedzialność.

Grzegorz W. Kołodko – jeden z najwybitniejszych polskich ekonomistów, najczęściej publikujący i najczęściej cytowany za granicą, profesor zwyczajny nauk ekonomicznych; czterokrotnie pełnił funkcję wicepremiera-ministra finansów. Twórca kompleksowego programu rozwoju społeczno-gospodarczego „Strategia dla Polski”. Absolwent SGPIŚ w Warszawie. Był stypendystą Fulbrighta w USA. Jest również doktorem honoris causa oraz honorowym profesorem ośmiu zagranicznych uniwersytetów. W przeszłości był konsultantem Międzynarodowego Funduszu Walutowego. Członek Europejskiej Akademii Nauki, Sztuki i Literatury oraz Rady Naukowej Fundacji Europejskich Studiów Postępowych.